

ANDRZEJ KOZIOŁ

GORAC



WYDAWNICTWO WAM



© Wydawnictwo WAM, 2012

Opracowanie graficzne i projekt okładki
Krzysztof Błazejczyk

Korekta
Danuta Barańska

ISBN 978-83-7767-153-5

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Spis treści

Koci, koci łapci	5
Króliki w ruinach	13
Tamte czasy	24
Dom	28
Ogród	33
Zwierzęta	38
Wychodek	43
Miasto	47
Cmentarz	50
Rozmowy	53
Gorąc	59
Dzierżawca Icyk	62
Nuchim Pietruszko	68
Wściekłe psy	73
Pomarańcze	76

Kurza śmierć	83
Suchciel	85
Pogrzeby	89
„Dzik”	90
Nasturcje	95
Pan Burbas	102
Pan Kuryłło	107
W radosnej czerwieni	118
Pęknięte serce i róże	128
Raki	133
Zaręczyny	138
Śmierć sklepu	144
Przygotowania	147
Wujek Wiktor	151
Mistrz Wyżkowski ...	155
Ślub	166
Śmierć po raz kolejny	172
Epilog	176

Taka podróż, to nie w kij dmuchał – narzekała matka i sposobiła się do wyjazdu. Na koniec świata – jak mówiła. – Koci, koci łapci, pojedziem do babci – dodawał ojciec, który tylko tak mówił, bo wcale z nimi nie jechał.

Dorośli często przesadzali, fantazjowali, bo przecież chyba nie kłamali, skoro kłamstwo było grzechem. Matka co pewien czas, podczas wielkich porządków albo wielkiego prania, wzdychała i skarżyła się, że musi sobie urabiać ręce aż po łokcie, że musi harować i drzeć pazurami, żeby im, Maćkowi i ojcu, było dobrze, żeby mieli czyste ubrania i codziennie obiad podany pod nos. Maciek patrzył na ręce matki, czy są już urobione do łokci, a kiedy matka zabierała się do szorowania kuchennej podłogi, uciekał do pokoju i zasłaniał rękami uszy. Bał się, że usłyszy straszny dźwięk paznokci drapiących podłogowe deski. Jednak za każdym razem, kiedy ukradkiem zaglądał do kuchni, okazywało się, że matka szoruje podłogę ryżową szczotką, która, przesuwając się

wzdłuż desek, podskakując na brązowych sękach, wydaje całkiem przyjemny, choć szorstki dźwięk.

Podobnie było z końcem świata. Kiedy szli do pani Wiktoryny, która opiekowała się Maćkiem, kiedy był jeszcze całkiem malutki, matka narzekała, że musi się wlec na koniec świata. Przechodzili jedną ulicę, drugą, a później, za małymi domami z żółtej i czerwonej cegły, za ogródkami, gdzie wśród róż błyszczały srebrzyste szklane kule podobne do choinkowych baniek, zaczynały się już pola. Szumiało zboże pocętkowane na niebiesko, fioletowo i czerwono – chabrami, kąkolami, makami. Matka niosła szarlotkę dla pani Wiktoryny, papier nazywany pergaminowym przesiąkał tłuszczem i zapachem cynamonu, a kiedy wreszcie za zakrętem polnej drogi ukazywał się drewniany dom pani Wiktoryny, matka wzdychała z ulgą, że oto nareszcie dotarli na koniec świata!

Na końcu świata zamieszkiwanym przez panią Wiktorynę, nieopodal jej ogródka, który latem rozkwitał nasturejami i liliami, jesienią strzepił się czerwonymi i fioletowymi płatkami astrów, w głębokim wykopie stała armata z lufą wycelowaną w niebo. Ilekroć siedzieli w małej altance, gdzie na drewnianym stole pachniała szarlotka przyniesiona przez matkę, a w białych, grubościennych filiżankach cierpko parowała herbata, pani Wiktoryna zerknęła na armatę i mówiła:

– Żeby, broń Boże, czasem nie wystrzeliła!

– Nie wystrzeli, pani Wiktoryno – za każdym razem odpowiadała matka. – Nie ma przecież zamka.

– Każdy tak mówi – nie ma zamka, nie ma zamka... Ale jak Pan Bóg dopuści, to i z kija popuści.

– A niech strzela, niech strzela – uspokajała ją matka. – Nic pani nie robi, przecież jest wycelowana w niebo.

– Tak też mówił szwagier... Może macie rację – ugodowo wzdychała pani Wiktoryna, ale podczas kolejnej wizyty, dmuchając na pełną herbaty filiżankę, znów z lękiem zerkła na armatę i powtarzała nieśmiertelną kwestię: „Żeby, broń Boże, nie wystrzeliła”...

Wojna skończyła się niedawno. Rodzice, z właściwą dorosłym przesadą, mówili, że wczoraj. W pamięci Maćka jeszcze nie wyblakły już powojenne obrazy. Ulicami z rykiem dreptały stada wychudzonych krów. Krowy poganiały baby w borych kufajkach. Na ich wydatnych drelichowych piersiach kołysały się pepesze. Na konnych wozach leżeli ranni niemieccy jeńcy w mundurach feldgrau, a główną ulicą miasta człapały wielbłądy, na ich grzbietach sennie kołysali się krasnoarmiejcy. Tuż obok sowiecki żołnierz naprawiał półciężarówkę załadowaną zdobycznym dobrem. Na ziemię, w breję topniejącego śniegu, zrzucił czyściutką pierzynę i Maciek

patrzył, zafascynowany, jak na białe płótno spadają krople oleju silnikowego, szybko zamieniając się w żółtawe, tłuste kręgi.

Na półciężarówce obok pierzyny leżał ścienny zegar z bogato rzeźbioną galeryjką, wielka czerwona tuba patefonu, walizki, podobne do waliz Wołodii Pfeifera, uśmiechniętego, krępego zucha w wysokich butach i we włożonej na bakier furazerce z czerwoną gwiazdą. Wołodia zamieszkał u ciotki Bogusi. Zjawił się nie wiadomo skąd, objuczony wielkimi skórzanymi czemodanami z tajemniczą zawartością. Znikał rano, przychodził późnym wieczorem i nigdy z pustymi rękami. Czasami przynosił puszkę tuszonki, czasami litrową butelkę wódki lub samogonu. Ciotka Bogusia odgrzewała tuszonkę, gotowała do niej kopytka, a stryj Józef – kiedyś austriacki ułan – przy mętym, pachnącym piwnicą samogonie rozmawiał z Wołodią po niemiecku. Wołodia, po ojcu nadwożański Niemiec, po matce Ukrainiec, kiedy już upił się bimbrem lub wódką, wyciągał z kieszeni organki, otrzepywał je z tytoniowych drobin i grał, co pewien czas podśpiewując:

Razcwietali jabłoni i gruszi,
papłyli tumany nad rieką,
wychadła na bierieg Katiusza,
na wysokij bierieg, na krutoj.

Pewnego dnia Wołodia zniknął tak jak się pojawił – niespodziewanie. Sowiecka komendantura kazała zgłosić się takim jak on, bezprizornym obywatelom Związku Radzieckiego, wędrownym ptakom, których nazwisk nie było w wojskowych ewidencjach. Jeszcze tego samego dnia Wołodia Pfeifer, nadwołżański Niemiec, przezornie zniknął ze swoimi wielkimi skórzanymi czemodanami. Ci, którzy zgłosili się na apel komendanta, przepadli, rozpłynęli się w powojennej zawierusze, niektórzy powiadali nawet, że nie wyszli z piwnic komendantury. Po Wołodii zostały tylko organki marki Hohner, z których Maciek na próżno starał się wydobyć jakąkolwiek melodię.

Do babci mieli jechać pociągiem, potem znów pociągiem, aby po dwóch dniach dojechać do rzuconego pomiędzy lasy miasta, w którym urodziła się matka.

W czasie podróży mieli jeść jajka na twardo, smażonego kurczaka na zimno, zimne sznycle i drożdżowe ciasto. Wprawdzie na stacjach przekupnie w białych marynarkach sprzedawali bułki z szynką, ale nie wiadomo, kto je przygotowywał, czy umył przedtem ręce, więc lepiej było wieść ze sobą zapasy jedzenia. Co najwyżej można było kupić krachlę, ale tylko w ostateczności, gdyby bardzo chciało się pić. Bo krachla też nie wiadomo z czego została zrobiona, a już z pewnością zamiast cukru dodawano do niej sacharynę. Co innego herbata z termosu,

dobrze osłodzona, z rozmoczonym w niej plasterkiem cytryny. Cytryna miała dodawać jej nadzwyczajnego smaku, tym większego, że aby ją zdobyć, matka musiała jechać na drugi koniec miasta, do sklepu prowadzonego przez znajomą.

Zapasy jedzenia były też potrzebne dlatego, że pociąg – jak to się podobno często zdarzało – mógł na kilka godzin stanąć w szczerym polu i co wtedy? Prawdę mówiąc, perspektywa postoju w szczerym polu (Dlaczego szczerym? Kiedy coś przeskrobał, matka mówiła: „Przyznaj się, patrz mi prosto w oczy i bądź szczery”) wydawała się Maćkowi kusząca. Wyobrażał sobie posapującą lokomotywę i dokoła spokój łąki pełnej kwiatów. A może las? Czy w szczerym polu może rosnąć las – prawdziwy, z grzybami i poziomkami czerwieniejącymi na nasłonecznionych polanach? Jednak matka rozwiewała te nadzieje. Z pociągu nie wysiada się i koniec, kropka. Bo jak wysiądziesz, pociąg może znienacka odjechać, uwożąc twój bagaż, a ty zostaniesz sam w szczerym polu, gdzie zazwyczaj pociągi się nie zatrzymują.

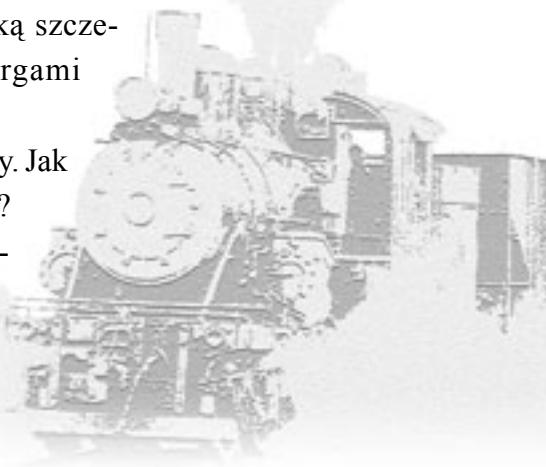
Jazda pociągiem – to nie w kij dmuchał. Same atrakcje, nawet jeżeli nie można wysiadać w szczerym polu. Nocą, kiedy pociąg przecina ciemność i gwizdże, aby dodać sobie odwagi, za lokomotywą ciągnie się rząd czerwonych iskier. Można je oglądać, ale tylko przez

zamknięte okno, bo każda isierka to rozpalony węgielek i nie daj Boże, żeby wpadła do oka! Nocą konduktorzy niczym duchy przemierzają korytarze, na brzuchu każdego fioletowym ogniem płonie latarka. A dniem jest jeszcze piękniej. Na stacjach zawiadowcy w czerwonych czapkach salutują odjeżdżającym pociągom, lokomotywy łąpczywie piją wodę. Na płonących szalwią rabatkach, na tarczy usypanej z drobno tłuczonych cegieł rozczapierza skrzydła orzeł z małych kawałeczków porcelany. A kiedy pociąg ruszy, kiedy rozpędzi się, cały świat ucieka do tyłu, a ty łowisz szybko znikające obrazki – krowy, psa miotającego się przy budzie w bezniejszej złości, wierzby pochylone nad leniwymi rzeczkami.

Pociąg zaskoczył wszystkich, przede wszystkim matkę, która zasnurowała usta, ściągnęła je w kurzy kuper, i przez wąską szczelinę pomiędzy wargami wyszeptała:

– Bydłęce wagony. Jak czymś takim jechać?

Wagony – jak wyjaśnił ojciec – nazywały się towosy, towarowo-osobowe. Niby towarowe, ale



do przewozu ludzi. Były wspaniałe. Przede wszystkim miały wielkie, rozsuwane drzwi, które kusiły, aby zasiaść w nich ze spuszczonej na zewnątrz nogami. Po drugie – były ogromne, bo niepocięte na przedziały, bez osobnego korytarza. Stały w nich zwyczajne drewniane ławy, a w kącie leżała słoma. Ławy zachwiały się, kiedy pociąg ruszył, przez szeroko otwarte rozsuwane drzwi wpadły kłęby dymu poganiane gwizdem lokomotywy oznajmiającej, że jest gotowa do dalekiej drogi. Później dworzec zaczął uciekać do tyłu, do tyłu pojechał wózek załadowany szarymi workami. Każdy worek przekreślał szeroki czerwony pas, znak, że worek nie jest byle workiem na ziemniaki, ale państwowym, pocztowym, kryjącym w swoim szarym brzuchu bardzo ważne listy.

Uciekał dworzec, uciekał wózek z workami, uciekał łysy staruszek z jamnikiem na skórzanej, plecionej smyczy. Tylko ojciec trwał w wielkim prostokącie otwartych drzwi, biegnąc wzdłuż pociągu i wymachując rękami, ale wkrótce i on pozostał w tyle. Lokomotywa rozpędzała się, sama sobie dodając animuszu krótkimi, ostrymi gwizdami. Szybko, fabrycznymi kominami, poczerniałymi od dymu, skończyło się miasto, pociąg wpadł pomiędzy pola (czy były to już szczerze pola?), pomiędzy niebieskawe zboża nakrapiane granatowymi chabrami i czerwonymi makami. Koci, koci łapci, jechali do babci...